



GMO, czyli podróż do Ciemnogrodu

PIOTR WĘGLEŃSKI

Prawie 200 lat temu, Stanisław Kostka Potocki, działacz epoki oświecenia, bliski mi jako jeden ze współzałożycieli Uniwersytetu Warszawskiego, opublikował *Podróż do Ciemnogrodu*. W dziele tym krytykował obskurantyzm polskiego kleru, który, między innymi, sprzeciwiał się szczepieniom przeciwko chorobom zakaźnym. Po opublikowaniu *Podróży* Potocki utracił stanowisko kierownika Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, co jawnie ukazało, gdzie się ten Ciemnogród znajduje. Dzisiaj jednak to nie kler walczy o podtrzymanie Ciemnogrodu, lecz Rząd i Parlament, wspierane przez niektóre organizacje pozarządowe. Kościół ma w tej sprawie inne niż Rząd zdanie. W stanowisku Papieskiej Akademii Nauk (listopad 2009) prace nad GMO, ze względu na ich znaczenie dla krajów rozwijających, uznano za „moralny imperatyw”.

GMO to genetycznie modyfikowane organizmy. Od połowy lat siedemdziesiątych XX wieku, gdy zaczęła się rozwijać nowa dziedzina nauki, zwana inżynierią genetyczną, w tysiącach laboratoriów na całym świecie przeprowadzane są prace w celu uzyskania żywych organizmów o nowych, korzystnych dla człowieka właściwościach. Uzyskuje się je poprzez przenoszenie z jednych organizmów do drugich genów odpowiedzialnych za rozmaite cechy. Dla przykładu, gen człowieka wmontowano bakteriom i drożdżom, by otrzymywać z nich ludzką insulinę. W podobny sposób otrzymuje się wiele hormonów i innych substancji białkowych potrzebnych medycynie. Szczepionki przeciwko chorobom wirusowym (np. żółtacze czy grypie) i bakteryjnym są wytwarzane dzięki technikom inżynierii genetycznej. W ostatnich latach zespół prof. Jacka Jemielitego opracował szczepionki przeciwnowotworowe, które w ubiegłym roku przeszły z powodzeniem próby kliniczne, a dwa koncerny, Sanofi i Roche, zapłaciły za licencje pozwalające na ich wytwarzanie po 400 milionów euro. Mamy pierwsze przykłady terapii genowej, polegającej na wprowadzeniu do organizmu prawidłowego genu, który przejmie funkcję odziedziczonego po rodzicach genu zmutowanego. W ten sposób leczone są dzieci mające tzw. dziedziczny ostry niedobór odporności, które mogły być utrzymywane przy życiu jedynie wtedy, gdy chowano je w warunkach absolutnie sterylnych.

Genetyczne manipulacje dokonywane na mikroorganizmach, a nawet na człowieku, nie budzą w Polsce

większych kontrowersji. Być może, przeciwnicy GMO o nich nie słyszeli, a być może boją się narazić milionom pacjentów korzystających z dobrodziejstw współczesnej medycyny. Spór wokół inżynierii genetycznej i GMO toczy się niemal wyłącznie wokół modyfikowanych genetycznie roślin, służących jako pożywienie dla człowieka oraz pasza dla bydła i drobiu. Jedną z najczęstszych modyfikacji polega na wprowadzeniu roślinie genu pochodzącego z bakterii glebowej, który nadaje jej odporność na owady. Roślin takich (np. kukurydzy, soi, rzepaku, bawełny) nie atakują owady, nie trzeba ich opryskiwać, przez co ich produkcja jest znacznie tańsza. Przeciwnicy GMO uważają, że wytworzony mieszaniec bakterii i rośliny, w przyrodzie niewystępujący, może mieć właściwości trudne do przewidzenia i może zagrażać człowiekowi i środowisku. Twierdzą też, że gen oporności na owady może być szkodliwy dla człowieka, gdy spożywa zmodyfikowane rośliny lub mięso (mleko, jaja) zwierząt karmionych GMO. Twierdzenia te, z punktu widzenia nauki, nie mają żadnego uzasadnienia. Roślinie, która ma kilkadziesiąt tysięcy swoich „własnych” genów, dodajemy jeden gen z bakterii, który odpowiada za powstanie jednego, konkretnego białka. Białko to zostało sprawdzone w dziesiątkach laboratoriów pod kątem jego toksyczności i alergenicności dla człowieka lub zwierząt. Żywność i pasze zawierające GMO były testowane w USA i Europie przez instytucje odpowiadające za bezpieczeństwo leków i żywności i mają odpowiednie atesty. Testy prowadzone były i w Polsce, między innymi w Instytucie Weterynarii w Puławach. Również i one nie wykazały szkodliwości GMO. Co najważniejsze, od 20 lat miliony ludzi spożywa GMO, a miliardy zwierząt są karmione GMO i ani ludziom, ani zwierzętom nic złego się nie stało. Przeciwnicy GMO powołują się na 4 (słownie: cztery) doniesienia o szkodliwości GMO, które po dokładnym sprawdzeniu przez poważne ośrodki naukowe zostały całkowicie zdyskwalifikowane.

Przeciwników GMO można często spotkać wśród osób zajmujących się ochroną środowiska. Uważają oni, że gen oporności może „przeskoczyć” do innej rośliny tego samego lub pokrewnego gatunku. Słusznie zauważają, że na polu zmodyfikowanej np. kukurydzy będą ginęły nie tylko szkodniki owadzie, ale również owady pożyteczne. Jest to prawda, ale te same owady będą również ginąć, gdy pola będziemy opryskiwać środkami owadobójczymi. Prawdą jest również, że oporność na



- owady uzyskają kuzyni roślin uprawnych, ale nie stanowi to wielkiego zagrożenia dla środowiska.

Dlaczego więc GMO, skoro jest lepsze i nie jest szkodliwe, jest tak źle odbierane przez społeczeństwo w Polsce i kilku krajach Europy? Pierwszym i najważniejszym powodem jest niedoinformowanie społeczeństwa. Dla przykładu, ponad 60% pytanym Irlandczyków odpowiedziało, że tylko rośliny GMO mają geny. Sądzę, że wiedza Polaków o GMO nie przewyższa wiedzy Irlandczyków. To wielka wina środowiska naukowego w Polsce, które zaniedbało edukację społeczeństwa. Drugim powodem niechęci do GMO jest czarna propaganda uprawiana przez dziennikarzy, niektóre organizacje pozarządowe i część polityków.

Wśród organizacji zajadłe walczących z GMO, czołowe miejsce zajmuje Greenpeace. Szczególnie ostro zwalcza tzw. złoty ryż, odmianę ryżu, która zawiera witaminę A, której deficyt w dzieci powoduje ślepotę i inne choroby. Złoty ryż został skonstruowany w Szwajcarii, testowany w Instytucie Ryżu na Filipinach, a badania były finansowane nie przez wielkie koncerny, ale przez organizacje filantropijne i agencje rządowe. Rolnicy w kilku krajach Dalekiego Wschodu, dla których ryż jest podstawowym pożywieniem, otrzymują nasiona za darmo lub po bardzo niskich cenach. Trudno więc do czegoś się przyczepić, a jeszcze trudniej zrozumieć stanowisko Greenpeace.

Zmarły w 2009 roku, amerykański uczone Norman Borlaug był uznawany za najwyższy autorytet w dziedzinie hodowli roślin. W 1970 otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za wyhodowanie odmiany pszenicy zwanej meksykanką, która dała początek tzw. zielonej rewolucji w Indiach i spowodowała, że Indie przestały doświadczać klęsk głodu i stały się eksporterem pszenicy. Ten wielki uczone, dobroczyńca ludzkości na miarę Ludwika Pasteura czy Aleksandra Fleminga, bardzo ostro wypowiedział się na temat działań takich organizacji, jak Greenpeace i Global Watch: „Trzydzieści lat temu w mojej mowie z okazji otrzymania Nagrody Nobla powiedziałem, że zielona rewolucja odniosła chwilowy sukces w walce człowieka z głodem. Jej wprowadzenie pozwoli na wykarmienie ludzkości do końca XX. wieku”. I dalej: „Obecnie świat dysponuje technologią, której wprowadzenie pozwoli na wykarmienie 10 miliardów ludzi. Ekstremiści z ruchów ochrony środowiska, wywodzący się z bogatych krajów, czynią wszystko, aby wycofać postęp nauki. Małe, dobrze finansowane, głośne i antynaukowe ugrupowania zagrożają rozwojowi i zastosowaniu nowych technologii, niezależnie od tego, czy technologie te wywodzą się z inżynierii genetycznej, czy z metod tradycyjnych”. Niedawno znalazłem też artykuł J. A. Foleya, ekologa, dyrektora Instytutu Ochrony Środowiska na Uniwersytecie w Minnesocie, którego treść znakomicie współgra z tezami Borlauga. Stwierdzając, że w 2050 roku będziemy zmuszeni do podwojenia produkcji żywności, Foley podkreśla, że nie stać nas na to, by poświęcać kolejne tysiące hektarów puszczy amazońskich czy sawann afrykańskich na uprawę roślin i produkcję żywności, bo grozi to degradacją środowiska i potężnymi, niekorzystnymi zmianami klimatycznymi. Stąd konieczność zwiększenia wydajności rolnictwa poprzez udoskonalanie genetyczne roślin uprawnych.

W Polsce słyszy się często zdania: „Po co nam GMO? Mamy wystarczająco dużo żywności z roślin niemodyfikowanych, a świat niech się martwi o siebie”. Ocenę moralną takiego stwierdzenia pozostawiam Czytelnikom i zwracam uwagę na to, że polskiego konsumenta również interesuje to, ile będzie płacił za mąkę, mięso, mleko i jajka, które produkowane przez tradycyjne rolnictwo będą z pewnością droższe.

Dyskusja nad GMO znakomicie obrazuje stosunek polskiego społeczeństwa i polityków do dwóch niezwykle ważnych kwestii, jakimi są rola nauki i unowocześnianie gospodarki. Z jednej strony mamy oświadczenia, że polska gospodarka ma być oparta na wiedzy, żeby nauka dostarczała gospodarce nowoczesnych technologii i by były one jak najszerzej stosowane. Z drugiej strony boimy się wszystkiego, co nowe i dajemy się łatwo zastraszyć pragnącym zaistnieć krzykaczom.

W przypadku GMO sami uczeni zwrócili uwagę na potencjalne zagrożenia inżynierii genetycznej. W roku 1974 z inicjatywy kilku uczonych amerykańskich ogłoszono moratorium na prace, w których stosuje się technikę zwaną rekombinowaniem DNA *in vitro*, będącą podstawą inżynierii genetycznej. Rok później na konferencji w Asilomar, w której uczestniczyłem, 150 genetyków i lekarzy z całego świata, w asyście kilkuset dziennikarzy, rozważało wszelkie możliwe korzyści i zagrożenia płynące ze stosowania nowej technologii. Ustalono, że potencjalne korzyści z niej wynikające znacznie przewyższają potencjalne zagrożenia i postanowiono uchylić moratorium. Czterdzieści sześć lat, które minęły od konferencji w Asilomar, w pełni potwierdziło przewidywania jej uczestników. W Asilomar opracowano również zabezpieczenia zapobiegające potencjalnym zagrożeniom towarzyszącym inżynierii genetycznej. Następnie wprowadzono je do oficjalnych przepisów regulujących w USA prace z tego zakresu. W Europie przyjęto zasady znacznie bardziej restrykcyjne, a polski Sejm jeszcze zaostrzył te przepisy, przekraczając nawet zalecenia unijne. Warto przy tym zwrócić uwagę na fakt, że doświadczenia z zakresu inżynierii genetycznej prowadzone są na wszystkich uczelniach, na których odbywają się zajęcia z biotechnologii, i w dziesiątkach instytutów naukowych, i nawet najzgorzalsi przeciwnicy GMO nie mogą podać przykładu szkód, jakie by one wyrządziły.

Istnieje jeszcze jedna ważna różnica pomiędzy ustawodawstwem amerykańskim a europejskim. W USA kontrolę nad stosowaniem GMO sprawuje ten sam organ administracji (FDA), który zajmuje się bezpieczeństwem leków i żywności. W Polsce wszystkie prace nad GMO, niezależnie czy są prowadzone na rzecz przemysłu, rolnictwa czy medycyny, są poddane kontroli Ministerstwa Ochrony Środowiska, które na sprawy GMO patrzy przez okulary ekologów, a nie rolników, lekarzy i biologów molekularnych. Proces tworzenia regulacji dotyczących GMO powinien być bacznie obserwowany przez specjalistów od ochrony środowiska, ale nie oni powinni grać w nim główną rolę.

Najwyższy czas, by nasz Rząd w sprawach innowacji we wszelkich dziedzinach gospodarki podejmował decyzje, opierając się na opiniach specjalistów, a nie populistów, a w przypadku GMO, by nasze społeczeństwo miało choć trochę zaufania do swoich uczonych.

PIOTR WĘGLEŃSKI

Centrum Nowych Technologii
Uniwersytet Warszawski

„Legenda” – zmyślenie i prawda

Nieufność wobec zmyślenia w rozmaitych jego ujęciach narracyjnych wyrażają w języku potocznym takie określenia, jak „mit” (gr. *mythos*/μῦθος), „konfabulacja” (jej źródłostów łaciński, tj. *fabula* – synonim „mitu”) czy „fikcja” (łacińska *factio* pochodzi od czasownika *ingere*, tj. „fingować”). Rodzimą nazwą zmyślenia jest „baśń” (po czesku *básník* to „poeta”), zaś „bajanie” to niekoniecznie „gadanie od rzeczy” czy oszustwo. Pierwotny sens tego rodzaju określeń nie ma więc zabarwienia koniecznie ujemnego, wprost przeciwnie. Kojarzyć się bowiem one mogą raczej z twórczością „literacką”, zwłaszcza z beletrystyką, której fikcyjność właśnie sprawia czytelnikom przyjemność, bo zaciekawia, pobudza wyobraźnię itd. Można też – jak w krótszej od baśni, parabolicznej „bajce” (jej grecka nazwa to też *mythos*), czyli opowieści o zwierzętach, której wynalazek przypisano Ezopowi – zawrzeć pouczenie, czyli morał. Twórcami mitów byli bowiem w śródziemnomorskim kręgu kulturowym nie kapłani, lecz poeci (*poietes* po grecku to twórca właśnie) i aoidowie, o których już bardzo dawno Solon, sam też poeta, twierdził, że „wiele zmyślają”. Myśl tę zresztą już wcześniej zawarł w *Theogonii* Hezjod. Od samych Muz miał usłyszeć, kiedy uczyły go śpiewu (czyli poezji) u podnóża Helikonu, iż wiedzą, „jak głosić kłamstwa liczne, do prawdy podobne” (przekład Jerzego Łanowskiego). Namysł nad nieufnością człowieka rozumnego wobec fikcji wydaje się dzisiaj wcale aktualny. Idea (a może raczej ideologia?) „post-prawdy” odzwierciedla bowiem nie zawsze tylko sceptycyzm poznawczy, lecz raczej bezradność, albo jeszcze częściej lenistwo umysłowe podmiotu poznającego, skazanego na wolność wyboru, a więc i na ponoszenie odpowiedzialności za skutki tego aktu. Starożytni filologowie zajmujący się pytaniem o wartość poznawczą zmyślenia poetyckiego, potem zaś – w średniowieczu i w epoce wczesnonowożytnej – ich pojętni uczniowie doceniali obecną w owych „zmyśleniach”, poza ich urokiem, także wartość poznawczą. Zmyślenie bowiem (*fabula*) może być istotą alegorii, czyli – jak to ujmowali humaniści – swego rodzaju, „łupiny” ukazującej czytelnikowi czy słuchaczowi coś innego jeszcze niż ukryte w jej wnętrzu „jądro prawdy”.

Są jednak i takie zmyślenia, których „morał” – jeśli nie ogóle jakiś z nich wynika – dość bywa mętny i prowadzący do nieporozumień, a satysfakcja z ich powtarzania bywa niewielka. Jest to mianowicie tzw. „legenda”. Nadużywamy tego określenia dzisiaj na potęgę, zazwyczaj dla uwznioślenia tematu i jego „bohatera”. Pełno go wszędzie w dyskursie publicznym: sportowym, artystycznym, nawet „celebryckim”, a przecież wielu nie zdaje sobie sprawy z jego pierwotnego sensu. Wyraz „legenda” jest wyrazem łacińskim i w tradycji chrześcijańskiej znaczy: „[teksty] wybrane do czytania”. Wywodzi się on z dawnej kultury oralnej, w której ktoś jeden tylko umiał czytać, a reszta (zazwyczaj analfabeci) słuchała. Nawiasem, współczesna kultura popularna znowu wiele ma z takim stanem rzeczy wspólnego. Otóż czytano przed wiekami na głos wiernym teksty „budujące”, zazwyczaj oparte na hagiografii, tj. na historycznych opisach żywotów świętych. Dlatego wyraz „legenda” skojarzył się pierwotnie z tematem narracji podniosłym, czasem heroicznym. Ważniejszą jednak od sensu religijnego była dla słuchaczy dominująca w tych popularnych narracjach bajeczność. Utożsamiano ją z cudownością religijną, która od tej pierwszej różni się jednak zasadniczo. Bajeczność polega na czarach, na magii, która „zmusza” siły nadprzyrodzone do działania – *vide*

opowieści o Fauście czy o „naszym” panu Twardowskim. Cudowność religijna natomiast „działa” w odwrotnym kierunku. Cud (*miraculum*) jest w narracji hagiograficznej odpowiedzią Łaski na modlitwę, czyli na prośbę konkretnej osoby. Wspominam o tym dlatego, że w kulturze popularnej, także obecnie, funkcjonuje szczególny gatunek narracji też nazywany potocznie, acz niesłusznie, „legendą”. Jest to mianowicie tzw. „podanie”. Nie jest ono rozbudowaną beletrystycznie baśnią, która tradycyjnie ma „pouczać i bawić” (*docere et delectare*). Nie jest też faktycznie legendą heroizującą postać świętego czy świętej, powiązaną genetycznie z kultem religijnym. Podanie jest potomstwem ciekawostki. Poczęte bywa po to, aby przydawało sensacyjnych szczegółów pogłosce, obchodząc przy tym racjonalną procedurę namysłu i przystając na fantastyczne domysły. Struktura tak sprofanowanej „legendy”, czyli podania, jest zawsze uniwersalna. Rozbudowuje ono wieść o wydarzeniu, do którego nie przystaje naukowy ani religijny komentarz, a które jako ciekawostka obrasta rozwiniętą fabułą. Owszem, niektóre takie podania, wymyślane przez poetów i kronikarzy, bywały „uświęcane” i podnoszone do statusu mitu założycielskiego. Jednym z prototypów, na których się potem przy konstruowaniu podań wzorowano, była zapewne Wergiliuszowa *Eneida*, w naszej zaś historiografii bajecznej były to podania o Krakę, smoku wawelskim, o Wandzie, o Piaście, Popielu etc.

Są również – zwane również niesłusznie „legendami” – opowieści o zasięgu lokalnym, miejskim. Takim jest np. „objaśnianie” genezy krakowskiej zabawy w „lajkonika”, czyli corocznie od XVIII w. odbywanego pochodu, otaczającego osobę przebraną w malowniczy, egzotyczny strój niby-tatarski. Pochodzenie tego widowiska skojarzono z boleśnie wpisanym w naszą historię trzynastowiecznym najazdem Mongołów na Małopolskę, dopisując do tego inne jeszcze podanie o trębaczach i o przerwanej tatarską strzałą hejnale krakowskim. Otóż pochod „lajkonika” historycznie z najazdem Mongołów nie ma nic wspólnego. Najprawdopodobniej wywodzi się on z docierających do Małopolski przez Śląsk ludowych, środkowoeuropejskich cechowych zwyczajów świętowania nadejścia wiosny w orszaku „bełkot-króla” (niem. *Lällenkönig*). Dodatkowym śladem karnawałowej konwencji tej zabawy jest tradycyjne określenie towarzyszących w pochodzie owemu „lajkonikowi” i raczących się po drodze piwem „włóczków” (czyli flisaków wiślanych) mianem „mlaskotów” (tj. bełkotliwie hałaśliwych). Podaniu natomiast o krakowskim hejnalistcie dopisał „legendy” ciąg dalszy Ksawery Pruszyński w znanym opowiadaniu *Trębacz z Samarkandy*. Taka bywa właśnie geneza i dynamika gatunku zwanego „legendą miejską”. Jej przykładem jest sensacyjna pogłoska o wawelskim „czakramie”. To znowu projekcja marzeń o „magicznej” szczególności Krakowa i o nadzwyczajnych („uzdrawiających”?) właściwościach tego miejsca (*genius loci?*), tak jakby mało było codziennych komunikatów o lokalnym, raczej nieuzdrowiskowym stanie powietrza w tym mieście. Dynamika jednak „legendy miejskiej”, przekształcającej się w podanie, a potem w zbeletrizowaną narrację (np. w tzw. *urban fantasy*) czerpie siły z ludzkiej ciekawości, z nienasyconego nigdy i niczym pragnienia kontaktu z niezwykłością, wreszcie z nieokielznanej rozumnym namysłem wyobraźni. Dlatego można takim zmyśleniom, gdy się kiedyś przekształcą w beletrystykę, wróżyć długi żywot.

zaPAU

Ponure perspektywy?

Wchodzimy w Nowy Rok z poczuciem, że sprawy tego świata nie wyglądają najlepiej. Rośnie lista zagrożeń. Uczeń ogłaszają przerażające scenariusze globalnej katastrofy klimatycznej. Politycy obawiają się wpadnięcia supermocarstw w pułapkę Tukidydesa, czyli rozpoczęcia globalnego konfliktu. Rosnący nacjonalizm skutkuje protekcjonizmem i osłabieniem światowej gospodarki. Rozpoczynająca się właśnie wędrówka ludów zapowiada chaos...

Ale przecież felieton na Nowy Rok winien być pogodny i stwarzać nadzieję. Dodajmy więc tylko, że już wiele razy wydawało się, że jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, a koniec świata blisko. I zwykle w takich momentach jakoś udawało się wywinąć z opresji. Wielkie dramaty przychodziły zaś wtedy, gdy nikt się ich nie spodziewał. Może więc nie będzie tak źle?

Aby podtrzymać ten wąły optymizm przypominamy wierszyk sprzed lat.

Redakcja

Rozkosze życia

Pieśń ku pokrzepieniu serc

Wszystko dziś biada: „lepiej wcale nie żyć”
I pesymizmu słyhać zewsząd jęk:
A jednak, państwo, zechciejcie mi wierzyć
Życie jest piękne, życie ma swój wdzięk;
Umieć je cenić, to pierwsza zaleta
Nie żądać więcej, niż nam może dać:
Wówczas, braciszku, jak mówi poeta,
Garściami rozkosz zewsząd będziesz brać!

Choć wszystko wezmą ci losy przeciwnie
Pociechę pewną zesłał dobry Bóg:
To – że tak powiem – szczęście negatywne
Tego nie wydrze ci najsroższy wróg;

Gdyś tego szczęścia przeniknął sekreta,
Pogodny idziesz wśród gromów i burz:
Gdzie nogą stąpisz – jak mówi poeta –
Wszędzie ci życie kwitnie wieńcem z róż!

Wszędzie radości znajdziesz nowe źródło
I do rozpuku śmiejesz się raz w raz;
Patrzysz, jak grzebią jakieś stare pudło,
Pomyślisz sobie: na mnie jeszcze czas!
Przystaniesz sobie za trumienką z boku,
Posłuchasz śpiewu i żalobnych mów,
Dziewczątka małe uszczypniesz gdzieś w tłoku
Już się oddawna tak nie czuleś... zdrów.

Wyjdiesz na miasto dla użycia ruchu,
Zdaleka widzisz jakieś twarze dwie:
To Rydel komuś wierci dziurę w brzuchu,
Pomyślisz sobie: dobrze, że nie ja!

Nie długo szukasz za nową podniętą –
Na „Warszawskiego” do kawiarni idź:
Przeczytasz sobie Hösocka felieton
No i sam powiedz: czy nie warto żyć?

W zimowy wieczór spieszysz do teatru
W fotelik miękki rozkosznie się wtul:
Ciepło, zacisznie, ni śniegu ni wiatru,
Tragedyi sobie wysłuchasz jak król!
Z piątego aktu prosto na kolację,
W gazetce znowu jest nowinek dość:

Tu masz bankructwo, tam znów licytację,
Z trzeciego piętra zleciał jakiś gość!

Tak sobie chodzisz wesoły jak ptaszek,
Radosną wszędzie życia widzisz twarz;
Wreszcie znużony i syt już igraszek
Wracasz do domu: własny kluczyczek masz;
Słyhać szmer jakiś: zaglądasz przez szparkę:
I jak tu człowiek się nie cieszyć ma – ?
Tam ktoś... ten... tego... właśnie twą kucharkę
Pomyślisz sobie: dobrze, że nie ja!

Śmiejesz się błogo przed zamknięciem powiek
I dziękczynienia czynisz korny gest –
Byle chciał tylko, znajdzie szczęście człowiek,
Niema co mówić: dobrze jest jak jest!
Więc choć świat biada: „lepiej wcale nie żyć”
I pesymizmu słyhać zewsząd jęk,
Najmilsi bracia, zechciejcie mi wierzyć,
Życie jest piękne, życie ma swój wdzięk!!

Tadeusz Boy Țeleński (1909)

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, [Jerzy Wyrozumski](mailto:Jerzy.Wyrozumski@pauza.krakow.pl), Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.